

List do Szołochowa

Józef Mackiewicz

Szanowny Panie.

W nr. 95 "Litieraturnoj Gaziety" zamieszczono artykuł o nowym wydaniu "Cichego Donu", poddanym przez Pana "istotnej" przeróbce. Jak widać, chodzi tu o przystosowanie powieści do bieżących wymagań socrealizmu, w jego powszedniej, urzędowej postaci. Szkoda. Osobiście uważam "Cichy Don" na tle bezgranicznie szarej jednostajności literatury sowieckiej ostatnich lat, za jedyne dzieło, które stanowi wkład do kultury ogólnoludzkiej. W ten sposób przeróbkę jego na sposób i według smaku obowiązującego dziś socrealizmu, uważać można również za cios zadany tej kulturze. Oczywiście, w pewnym znaczeniu, jednocześnie, i za cios wymierzony w ustrój sowiecki, jako zjawisko kompromitujące go w oczach świata zachodniego.

Ta okoliczność mogłaby mnie, jako zaprzysiężonego wroga tego ustroju, nawet cieszyć, ale tak nie jest. Moim zdaniem, przestępstwem było niszczyć hitleryzm łącznie z przepięknymi miastami niemieckimi, które poddano burzącemu bombardowaniu. Nazizm należało zniszczyć, a miasta zastawić. Tak samo w tym wypadku: życzę z całego serca wszystkiego złego wszystkiemu co stanowi istotę bolszewizmu, ale zniszczenie książki Pana szczerze mnie zasmuca. Komunistów nienawidzi się u nas z różnych względów i w ogóle w różny sposób. Ja zaś osobiście /pozwoli mi Pan uciec się do odrobiny patosu/ w imię walki o wolne słowo i o autentyczne piękno w oddawaniu prawdy.

Nie wiem, czy to Pana zdziwi, ale będąc pisarzem polskim z pretensjami do tzw. u was "reakcyjnego" naturalizmu, aż dwa razy w swoim życiu, na pytanie zadane w ankiecie: "Jaką książkę ostatnich dziesięcioleci uważa Pan za najlepszą?" - udzieliłem odpowiedzi: "Cichy Don" Szołochowa". Nie będę ukrywał, że ku pewnemu zgorszeniu niektórych z moich rodaków. Tak, racja, że wszędzie można spotkać ludzi, którzy czy to partyjną, czy to patriotyczną, ale w każdym razie jakąś linię wywyższają ponad "kosmopolityczny" stosunek do sztuki. Ale, widzi Pan, różnica polega na tym, że u nas różnorodność poglądów ochraniają przez prawo, w takim samym stopniu jak u was prześladowana jest na mocy prawa. I oto skutek wyżej wymienionej, dosyć jednak istotnej różnicy, zachodzącej między właściwościami tych ustrojów politycznych, w których my z Panem żyjemy, miałem pełne prawo wychwalać Pana jako artystę dużego formatu.

Większość krytyków zarzuca książce Pana tendencyjność. Nie ma o czym mówić: jest ona tendencyjna. Powiem wprost: epos Pana jest na tyle "czerwony", na ile u mnie, gdybym posiadał Pana talent, wyszedłby "biały". Ale pomijając już okoliczność, że tendencyjność w literaturze sowieckiej jest nakazana, że jak się wyraził Żdanow na pierwszym kongresie literatury w Moskwie w r. 1934, "tendencyjność stanowi nawet dumę literatury sowieckiej", powstaje pytanie, czy bywają w ogóle utwory o charakterze literackim pozbawione tendencyjności. Bodaj czy takie istnieją na świecie. Autor, niechby się nawet zdobył na największy wysiłek celem "obiektywnego" przedstawienia wypadków i osób biorących w nich udział, nigdy nie potrafi przełamać wewnętrznego subiektywnego współczucia-negacji, tj. tego co stanowi właściwość każdej śmiertelnej jednostki. Bezpośrednim tego skutkiem bywa owo skrzywienie, za-równo historycznej jak artystycznej prawdy, które obserwujemy w dziełach największych nawet pisarzy. Nawet w tym wypadku, gdy autor, przedstawiając z rozmysłem ujemnego bohatera, obdarzy go wszystkimi cechami żywego człowieka, mimo woli usposobi doń

czytelnika życzliwie, już chociażby wskutek ogólnoludzkiego prawidła /niestety nie mającego zastosowania w sowieckim na świat poglądzie/, że "tout comprendre, gest tout pardonner". Ale czy można pomawiać za to autora o tendencyjność?

Autentyczność wyrazu artystycznego uwarunkowana jest: nie jego beztendencyjnością, a czymś innym, bardziej złożonym. Być może, istnieje coś takiego w samej naturze talentu, co zmusza autora do przestrzegania uczciwości wobec otaczających go przedmiotów, do zachowania pewnej dozy bezstronnej sumiennosci, chociażby tylko w stosunku do powierzchownych cech rzeczywistości, a nawet w tym wypadku gdy istocie tej rzeczywistości zamierza on nadać własne, subiektywne odchylenie. Wystarczy by osoby działające w powieści zachowały rzetelne, ludzkie oblicze, a czytelnik sam już potrafi się załatwić z rozplanowaniem osobistych uczuć i sympatii. I poprzez sieć autorskiego ujęcia towarzyszyć będzie wybranym bohaterom nawet ku ich nieuniknionej zgubie. Oto gdzie jest prawda! Zawieszona nad bezdenną przepaścią najbardziej różnorodnego pojmowania rzeczywistości, w ostatecznym rezultacie rozstrzygana nie przez nas, ludzi w pętach namiętności, nie przez autora, nie przez czytelnika, ale gdzieś we wszechświecie, być może w sensie wiecznego obrotu wszystkich rzeczy. - Pana "Cichy Don", na przekór całej jego tendencyjności, potrafił w rezultacie zachować jednakże tę prawdę jedyną, prawdę wiecznej wątpliwości i wiecznych sporów.

A teraz proszę mi pozwolić przytoczyć kolegę Pana, Aleksandra Fadiejewa, jako uogólniający przykład, do czego doprowadza literaturę sowiecką nacisk tzw. socrealizmu. Fadiejew napisał kiedyś bardzo dobrą książkę pt. "Pogrom". Znajdujemy w niej na przykład taki ustęp: "To musi być prawdopodobnie zwierzę - pomyślał Lewinson; zatrzymując na nim wzrok i mimo woli przypisując temu pięknemu oficerowi te wszystkie okropne cechy, które zazwyczaj przypisuje się wrogowi".

Tak, to było prawdziwe. Lecz oto, w krótkim czasie, następuje zaprawdę pogrom twórczości literackiej w Sowietach, i Fadiejew pisze już swoją "Młodą gwardię". Naturalnie można wydrukować na kawałku papieru: "Bij Żydów, ratuj Rosję", albo: "Bij faszystów, ratuj Związek Sowiecki!" i sens jakiś będzie, niezależnie od ujemnego czy dodatniego znaczenia tych słów. Ale będzie wyłącznie na płaszczyźnie plakatu ulicznego. Jeżeli natomiast istotę jego przeniesiemy na płaszczyznę utworu literackiego, otrzymamy nie tylko kicz, ale kicz pozbawiony wszelkiego sensu. Nie wywoła bowiem on w nas żadnych wrażeń, ani ujemnych ani dodatnich, gdyż poprzez słowne wykrzykniki nie podobna dostrzec istoty rzeczy. Ani jeden z czytelników nie będzie w stanie podstawić myślowo swojej osoby pod którąkolwiek z osób działających. A nie będzie w stanie tego uczynić dlatego, że działanie człowieka żywego jest wynikiem jego reakcji na działanie innych ludzi. Z chwilą jednak, gdy żywi ludzie, jak w "Młodej gwardii", zastąpieni zostali z jednej strony przez wzory bez wartości, a z drugiej przez karykaturalnych diabłów z jarmarcznych strzelnic, autentyczne bodźce postępowania ludzkiego sprowadzają się do zera. Obraz zaś ogólny nie tylko zatracza oblicze prawdy, ale pozbawiony zostaje wszelkiej wartości artystycznej. Sądzę, że w głębi swego sumienia zgodzi się Pan ze mną, że powyższe da się powiedzieć o całej dzisiejszej literaturze sowieckiej. W mniejszym lub większym stopniu, ale tak jest.

Na tym tle bezbarwnym, "Cichy Don" był zjawiskiem na pewno wykraczającym z reguły. Oceniam go nie tylko z punktu widzenia krytyki zawodowej, ale przede wszystkim z punktu widzenia zwykłego czytelnika. Proszę wziąć pod uwagę, że hołd składany przez inaczej myślącego uważa się zazwyczaj za coś więcej niż zwykłą pochwałę. Czytając powieść Pana cieszyłem się - było to z mojej strony naturalne - z okazji każdego zarąbanego przez białych bolszewika i jednocześnie smuciłem się, gdy bolszewik zabijał białego; cieszyłem się gdy zwyciężali Kozacy, a smuciłem gdy zwyciężała armia czerwona. Ale te moje osobiste odczuwania radości czy smutku nie byłyby możliwe, gdyby zamiast żywych ludzi miały się w książce Pana potykać tekturowe

kukielki. A jak świetnie nakreślił Pan, niewątpliwie najbardziej trudne, sylwetki swoich bohaterów "pozytywnych", w rodzaju Podtielkowa lub Bunczuka!

I oto teraz własnymi rękami niszczy Pan swoją książkę, tzn. ściślej mówiąc, to wszystko co w niej było najlepszego. Przypominam sobie, jak swojego czasu zachwyciałem się portretem Bunczuka. Zdawało mi się czytając, że ja go dzieś widziałem na mijających się ulicach wschodniej Europy, już oto ponad trzydzieści lat wtrąconej w nieszczęście przez rewolucję październikową. Gdzieś, w zakurzonej po wojennemu małym miasteczku, być może kroczącego w przestrzelonym, żołnierskim szynelu, tego samego, o którym Pan powiedział, że "nie było w nim nic szczególnego, nic co by się rzuciło w oczy, żaden jego rys nie odznaczał się wyrazistością, wszystko było zwyczajne, szare, powszednie..."

I ten zarys, doskonały w swej prostocie, Pan skreśla, by pozostawić tylko następane zdanie: "Twardo wygięte szczęki oraz oczy łamiące spotkanie wejrzenia wyróżniały go z tłumu innych osób".

Jestem głęboko przekonany, że Pan sam uświadamia sobie, na pewno lepiej niż ja, że i "szczęki" i "oczy łamiące spotkanie wejrzenia" nabierają swej artystycznej wyrazistości właśnie w zestawieniu z poprzednią uwagą. Pozbawiona zaś tego "szarego" i "powszedniego" sylwetka Bunczuka staje się dopiero... "sorealistycznie" i szara, i powszednia, tzn. wypada nienaturalnie, abstrakcyjnie i nudno, jak oleodruk przedstawiający bolszewickiego bohatera.

Szkoda też tych wszystkich drobnych wad właściwych osobie Podtielkowa. Jeżeli "przerobić" jego charakterystykę według socrealistycznej recepty oraz wykreślić dramatyczny epizod zarabiania bezbronnego Czerniekowa, słabości do dziwki Zinki, fałszywe komentowanie linii partyjnej itd. - cóż, po takim "poprawieniu" przez Pana "błędów" pozostaje uczynić z samym Podtielkowym? Chyba tylko powiesić, ale i to wypadnie nieciekawie. Przecież przyzna Pan, że inne wrażenie wywołuje obraz, gdy wieszają żywego człowieka, a zupełnie odmienne gdy się podciąga do góry korpulentny pęcherz bzdurnych, bolszewickich cnót! Niechże pan panie, po co psuć utwór literacki?!

"Istotne" zmiany, dokonane w nowym wydaniu "Cichego Donu", sprowadzają się, głównie do usunięcia z niego "elementów naturalizmu", pozbawienia go szczegółów "naturalistycznego prawdopodobieństwa", a nawet tych ustępów w opisie zjawisk przyrody, które towarzyszy Jakimienko z "Literaturnej Gazjety" uważa omal za kontrewolucyjne. W ten sposób pozbawia się książkę wszystkiego co w istocie stanowiło jej urok.

Nie będę się spierał na temat, co to jest "naturalizm". Osobiście nie wierzę w żadne "izmy", kierunki czy "szkoły" artystyczne, rzekomo związane w jakiś sposób z poszczególnymi epokami. Według mnie jest to zawracanie głowy. Każda "szkoła" powstaje przypadkowo, wskutek tego, że plejada współczesników zaczyna naśladować którykolwiek z wybitniejszych, indywidualnych talentów. Czyni się to często dopóty, dopóki w pewnym mieście, w pewnej wsi, nie urodzi się nowy, indywidualny talent, który zacznie pisać inaczej. Naturalnie, że w różnych poszczególnych epokach ludzie pisali w różny sposób. Z drugiej strony jednak można by przytoczyć chociażby taki przykład jak Turgeniewa, który się urodził prawie 140 lat temu, a w swoich, powiedzmy, "Zapiskach myśliwego", pomijając już ich nieprześcignioną wartość artystyczną, ale również w ich formie zewnętrznej, osiągnął taki stopień doskonałości technicznej, że i dziś mogą być one traktowane jako najbardziej nieskazitelny wzór utworów podobnego rodzaju. Sposób Turgeniewa nie zestarzał się, mimo że pisał on w epoce pańszczyzny, a obecnie mamy epokę samolotów szybszych od dźwięku, epokę robotników amerykańskich jeżdżących własnymi samochodami. Wynika z tego, że epoka nie ma nic wspólnego ze sposobem pisania. I znowu odwrotnie: w Rosji nastąpiła w tej chwili epoka nie tylko pańszczyzny chłopskiej, ale

pańszczyzny ogólnej, a nowego Turgieniewa nie ma i, jak my to dobrze z Panem wiemy, nie może być takiego, który by wystąpił przeciwko niewolniczemu ustrojowi. Rzecz cała nie zależy więc od kwalifikacji i nazw poszczególnych artystycznych kierunków, ale wyłącznie od uzdolnienia poszczególnych pisarzy, ich wewnętrznej szczerości, a jednocześnie od rzetelnego i autentycznego ujmowania przez nich rzeczywistości. Rosyjską literaturę przedrewolucyjną uznano za jedną z najlepszych na świecie, czytana jest we wszystkich częściach ziemi po dziś dzień, podczas gdy socrealistycznego kiczu nikt czytać nie chce. Moim zdaniem przyczyna tego jest następująca: bohaterem literatury rosyjskiej był żywy człowiek, bohaterem zaś literatury sowieckiej jest partia. Różnica olbrzymia: z jednej strony - autentyzm, z drugiej - fałsz. A czytać go nikt nie chce, nie dlatego, że ludzkość jako taka jest przeciwna partii bolszewickiej, ale dlatego, że ta partia jest bezgranicznie nudna, głównie właśnie z powodu swej nienaturalności.

Poprzerabiał Pan według wskazówek partyjnych nawet kształt i koloryt obłoków, nawet barwy ziemi, tam wszędzie, gdzie zwrócono Panu uwagę, że z punktu widzenia socrealistycznego... "pejzaż pozbawiony jest estetycznej wartości i że nie może wskutek tego z należytą siłą wpływać na zrozumienie istoty zdarzeń..." w maju 1943 stałem nad długimi rzędami trupów oficerów polskich, zabitych na rozkaz Stalina przez funkcjonariuszy mińskiego NKGB w r. 1940. Wyrywano je z kleistej masy ogromnych mogił w lesie katyńskim koso Smoleńska, układano jeden obok drugiego i przytwierdzano do każdego metalowe blaszki z numerkami. 4.500 ludzi o przestrzelonych czaszkach. Cały obóz kozielski ni to jeńców, ni to internowanych, trudno ustalić, gdyż nie było prawdziwej wojny między Polską a Związkiem Sowieckim w r. 1939. Na skraju lasu ćwierkały po wiosennemu sikorki. Było chłodno, i rzadko tylko wyglądało słońce spoza chmur poganianych wiatrem. Skąpy promień prześlizgnął się szybko po złotym zębie sterczącym z dolnej szczęki jednego z trupów w rozciągniętym szeregu. I wszyscy kto żył cieszyli się, że jest zimno i że wieje wiatr, gdyż z dna wznosił się duszący, słodkawy smród na podobieństwo trującego gazu. - Taaak, pejzaż istotnie "...pozbawiony był estetycznej wartości..." To słusznie. Ale absolutnie nie mogę się zgodzić, żeby wskutek tego ... "nie mógł z należytą siłą wpłynąć na zrozumienie istoty zdarzeń"... Wręcz przeciwnie, istota zdarzeń zrozumiana była przez nas z należytą wyrazistością. Chociaż leżało tam z przestrzelonymi głowami zaledwie 4.500 ludzi, a gdzie się podziła reszta z obozów w Ostaszku i Starobielsku, nie wiadomo; po rozstrzelaniu zaś Berii i Mierkułowa, bodajże nigdy już wiadome nie będzie. I oto wielu spośród moich rodaków skłonnych jest uważać, że nie ma nic bardziej strasznego od tego przestępstwa katyńskiego; drudzy odpowiadają - że jednak oświęcimskie piece; trzeci - że lagry w oddalonych miejscowościach Rosji i Syberii.

Nie zgadzam się z nimi. Chociaż osobiście byłem w Katyniu i widziałem na własne oczy to, czego oni nie widzieli. Lecz również byłem kiedyś "obywatelem sowieckim" i obecnie, na wolności, korzystając z możliwości udostępnionej pojedynczemu człowiekowi przeciwstawiania się panującemu pogładowi, upieram się; że ani egzekucje masowe, ani obozy koncentracyjne nie stanowią rzeczy najstraszniejszej. Nie, również nie pokajania podsądnych na procesach sowieckich. Bóg z nimi, z więźniami. Moim zdaniem największym okropieństwem jest to dno duchowe, na które spada czasami tzw. wolny, sowiecki człowiek! Człowiek z krwi i kości. Któremu na razie nikt nie podtyka lufy "naganu". Który nawet, bywa, że posiada własną maszynę, letnisko i rachunek w gosbanku! A duszę? A którego dusza drży w poczekalni partyjnej. Do czego to, do jakiego zmalenia, do jakiego moralnego zarcia doprowadzić można człowieka w garniturku granatowym w paski, sporządzonym w moskiewskim krawieckim artelu!

Bywały w historii ludzkości karty czarne. Nie są nowe też takie czerwone od krwi. Bywały również mglisto-szare policyjnego regimentu, gdy rządowi cenzorzy brudzili swoim ołówkiem najwybitniejsze twory geniuszu ludzkiego. Ale coś takiego co się dzisiaj dzieje w Sowietach... żeby sam twórca, z rozmysłem, własnymi rękami niszczył, psuł rzecz najbardziej cenną jaką posiada rodzaj ludzki, tzn. twórczość kulturalną, a jednocześnie

najbardziej drogą dla każdego autora, jego własne dziecię - tego jeszcze nie bywało. Nie żeby w przystępie goryczy lub rozpaczy darł na strzępy, palił. Nie, z pełną świadomością, rzeczowo, wiersz za wierszem, skazał rozmyślnie, służalczo - na sam tylko znak dany przez osoby nadzorcze. Ba, z jaką jeszcze gotowością. - Powiadają, że Abraham na rozkaz Pana Boga zabierał się już do zarżnięcia rodzonego syna i powstrzymany został w ostatniej chwili. Ale nawet gdyby owa ponura próba nie była odwołana, bodaj czy można sobie wyobrazić, aby sędziwy patriarcha, mimo całego okazanego posłuszeństwa, zarzynając swoje dziecię, czynił to z pedanterią, z przypochebnym uśmieszkiem, a w dodatku przygadując: "Tak to będzie dobrze! Dzięki za mądrą wskazówkę! Jakże jestem szczęśliwy i wdzięczny za otrzymane instrukcje! I jakże to sprawiedliwie pomyślane, że dano mi wyplenić własnymi rękami własne tworzywo!"

Hm, taaak... To okropne.

Zechce Pan jeszcze raz przyjąć szczere zapewnienia, że bardzo mi jest żal Pana doskonałej książki.

Józef Mackiewicz

"Wiadomości" /Londyn/nr 1 /457/ z 1955 r.